

Krupa charczał i dyszał coraz szybciej. Zdawało mi się, że to charczenie jest we mnie. Czyżby to był jakiś odmienny przebieg jednego z jego codziennych ataków choroby Adamsa-Stokesa?

— Ludzie, ratujcie mnie — powtórzył znów wezwanie, którym nas dręczył od rana. Uniósł się wyżej na poduszkach. — Dajcie choć aspiryny albo czegoś. Czy nie macie litości?

Dyszenie wzmagало się. Zwlokłem się ze swego łóżka i zacząłem baczniej obserwować Krupę. Przywykliśmy do jego narzekań i przestaliśmy na nie reagować. Ostatecznie, lekarze sami wiedzieli, co mu jest potrzebne. Ale teraz... Krupa bezsilnie opadał na poduszki, dysząc coraz szybciej i mocniej. Oczy jego to otwierały się, to przymykały. Było w nich coś niezwykłego, coś jakby ekstaza i równocześnie obojętne zęgnanie rzeczywistości. Wreszcie opadł całkiem bezwładnie i jego siwa głowa przechyliła się w tył, na poduszkę, zwisła poza nią. Chwyciłem nadgarstek staroego, ale nie mogłem znaleźć tętna. Że też pielęgniarka odłączyła aparat EKG z monitorem ukazującym wykres pracy serca...

Wybiegłem na korytarz. Pusto. Te dwa skurczybyki też się gdzieś ulotniły, pewnie do hallu na papierosa. Nie widząc w perspektywie korytarza żywej duszy

popędziłem do dyżurki pielęgniarek. Znalazłem tam dwie — obie podmalowywały sobie brwi. Krzyknąłem:
— Lekarza! Krupa chyba umarł!

Jedna z nich porzuciła szminki, zerwała się i pobiegła w drugi koniec korytarza. Przypomniałem sobie, że przed kilku minutami któryś z lekarzy-kursistów wszedł do osiemnastki, pewnie na zwykłą porcję płotek z samotnie leżącym dyrektorem jakiejś cukrowni. Otwarłem raptownie drzwi. Wybuchnąłem: — Krupa umarł!

Młody lekarz zerwał się z miejsca, popędził. Dopadł leżącego sztywno Krupy, w zdenerwowaniu to szukał puls, to przytykał stetoskop do obnażonej piersi staro-ego człowieka. Ale zaraz oprzytomniał, opadł obiema rękami na klatkę piersiową zmarłego i rytmicznymi uciskami zaczął masować jego serce.

Przybiegł i nasz doktor Stokowski. Bez namysłu przypadł ustami do ust Krupy i zaczął wdmuchiwać weń powietrze. Pielęgniarka cofnęła się do drzwi. Lekarze na zmianę masowali serce nieboszczyka.

Nie mogłem pojąć, jak to się wszystko stało. Nie żył oto człowiek, który jeszcze wczoraj tak zażarcie bronił swych poglądów. Wiedziałem, że śmierć kliniczną od śmierci biologicznej dzieli pięć minut. Gdybym i ja poszedł na papierosa z dwoma pozostałymi pacjentami Krupa byłby już nieboszczykiem na amen. Teraz jest jeszcze prawdopodobnie jakaś nadzieja na uratowanie, tylko czy organizm podda się zabiegom? Patrzyłem na starania lekarzy z pewnym sceptycyzmem. Czy można rzeczywiście wskrzesić zmarłego? Czytałem o takich wypadkach w biblii i w gazetach.

W pokoju była już teraz także adiunkt Dramowiczowa, zastępująca w klinice profesora; ona z kolei przypadła do piersi zmarłego. Pielęgniarka podała Stokowskiemu dmuchawę. Pochwycił ją nerwowo i zaczął pompować

staremu powietrzu do ust, ściskając jednocześnie jego nos. Wszyscy byli piekielnie zdenerwowani i zmęczeni.

— Kiedyż przyprowadzą ten przeklęty wózek? — warknął Stokowski. — Pokój reanimacji gotowy?

— Tak — szepnęła pielęgniarka.

Wózek właśnie już wjeżdżał. Dwie pielęgniarki i dwie salowe prznosiły nań bezwładne ciało, tymczasem Stokowski nie zaprzestawał wdmuchiwania powietrza, a Dramowiczowa — masażu.

Wyjeżdżali. Pokój reanimacji znajdował się w drugim końcu korytarza, oglądaliśmy go któregoś dnia, gdy ktoś na chwilę zostawił otwarte drzwi. Krupa odjeżdżał martwy, nie ten co wczoraj — były wojak, były partyzant. Teraz: były pacjent. W drodze przez korytarz młody lekarz znęcał się nad jego klatką piersiową, podążając za spiesznym popychanym wózkiem.

Pacjenci w pidżamach i szlafrokach gapili się z powiewających drzwi. Szedłem powoli korytarzem, coraz dalszy od białego konduktu. Gdy zrównałem się z wyjściem do klatki schodowej, dwaj z naszej sali, z papierosami w zębach, otwierali właśnie wahadłowe drzwi.

— Co jest? — powiedział Białek przez zęby.

— Nie żyje — wyszeptalem.

Zatrzymali się w przejściu, jak rażeni gromem. Dojrzałem w ich oczach przerażenie. Patrzyli w głąb korytarza. Ostatnia pielęgniarka wchodziła do pokoju reanimacji i zamykała drzwi za sobą. Panowała ogromna cisza.

— Jak to się stało? — zapytał Sobczak.

Ludzie w pidżamach i szlafrokach skupili się dookoła nas. Szliśmy we trójkę powoli w stronę naszej sali. Wszedłszy do niej, zatrzymaliśmy wzrok na pogniecionej pościeli Krupy. Moje łóżko było odsunięte pod samo okno. Przesunąłem je z powrotem na właściwe miejsce, poprawiłem odepchniętą nocną szafkę i siad-

łem na taborecie. A ci patrzyli na mnie wyczekująco. Opowiedziałem im więc wszystko, co stało się w ciągu kilku minut ich nieobecności.

— A czy jest jeszcze jakaś nadzieja? — westchnął Białek, a czułem w tym jego westchnieniu coś jakby lęk.

— Diabli wiedzą.

Milczeliśmy przez chwilę.

— Przecież to są kardiologzy — dodałem. — Kardiologzy wysokiej klasy, którzy kształcą kadry specjalistów. W klinice akademii medycznej wszystko jest możliwe. A nawet powinno być możliwe. Nie czytaliście w gazetach? A i tu za naszej bytności ocucili tę babę.

— A dziadek?

— No tak, z dziadkiem im nie wyszło. Ale to była inna sprawa, dziadek był po operacji.

Weszła salowa, by uporządkować łóżko Krupy. Zdejmowaliśmy szlafroki i w milczeniu kładliśmy się, każdy na swoim łóżku. Patrzyłem w szpitalny sufit — czysty, nieskalany, taki sam jak przed kilku tygodniami, gdy tu przyszedłem. W ogóle pozostało wszystko nie zmienione, zmieniali się tylko ludzie. Odeszli ci, wśród których byłem nowicjuszem. Już dawno zostałem na sali nestorem. Białek przyszedł dwa dni po mnie w ciężkim stanie, po zawale. Sobczak zjawił się po trzech następnych dniach — z sinymi palcami rąk, posiniałymi uszami i nosem, z niewydolnością serca. To już nie było to samo, co tamci poprzedni — zwykli, spokojni nadciśnieniowcy. I nie to samo co ja, wieńcowiec, jeszcze wtedy przed zawałami, człowiek właściwie zdrowy, kiepski jedynie przy chodzeniu i innych wysiłkach. Ostatni nadciśnieniowiec wyszedł przed dziesięciu dniami, a na jego miejsce przywieziono ze szpitala w Rzeszowie Krupę — pogodnego staruszka

